



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



OD REDAKCYI.

Chcąc przed końcem roku rozstrzygnąć konkurs następny, łącznie ze sprawozdaniem z ostatniego, podajemy zadanie mające posłużyć za temat do nowego wypracowania konkursowego, a mianowicie :

Jaka wada jest najnieznośniejszą w życiu codziennym?

Kwestya to tak żywotna i ważna, a zarazem tak przystępna i do obróbenia łatwa, że na powyższe pytanie odpowiedzieć mogą małe nawet dzieci, jeżeli pomimo młodego wieku, posiadają już pewne zasady moralne, oraz poznanie różnicy pomiędzy dobrem a złem. To też całą, bez wyjątku, gromadkę naszą powołujemy do konkursu, mamy bowiem nadzieję, że od najmłodszych do najstarszych, każdemu korzyść moralną przyniesie zastanowienie się nad określaniem wady, mającej tak wielkie znaczenie w życiu codziennym.

Wypracowanie powinno zawierać nie tylko odpowiedź właściwą, ale jeszcze wyłuszczenie przyczyn, dla których piszący daje taką a nie inną odpowiedź, dla czego tę właśnie wadę, którą wymienia, za najnieznośniejszą uważa. Dobrze także uczyni, jeżeli dowodzenie swoje poprze odpowiednim przykładem, zaczerpniętym nie z opowiadania czyjś lub z książek, lecz z własnego doświadczenia.

Ponieważ w wydawaniu sądu musimy przedewszystkiem uwzględnić wiek piszącego, podzielimy przeto odpowiedzi na trzy kategorie :

Pierwszą składać będą czytelnicy do lat 10-ciu.

Drugą : od lat 10 do 13.

Trzecią : od lat 13 do 15.

Najlepsze wypracowania w każdej kategorii otrzymają książki przeznaczone na pierwsze nagrody, inne zaś również odpowiednio nagrodzone zostaną.

Termin nadsyłania odpowiedzi naznaczamy na 1-go grudnia, prosząc o zachowanie zwykłych warunków, to jest dokładne wymienienie imienia, nazwiska, lat, pseudonimu, oraz adresu.

Teraz przystępujemy z kolei do wydania sądu o wypracowaniach nadesłanych w odpowiedzi na konkurs wakacyjny dla chłopców. Niewiele ich nadeszło, co tłumaczymy pragnieniem użycia wiejskiej swobody lub wczasów, podczas wakacji dozwolonych. Z przyjemnością jednak widzimy, że są tacy, którym rodzice potrafili tak umiejętnie rozrywkę połączyć z korzyścią, że w niczem nie ujmując słusznemu wypoczynkowi, odnieśli przecie pewien dla umysłu pożytek. Do tych szczęśliwych dzieci należy *Kozak Sawa*, któremu podczas wakacji pokazano wiele ciekawych rzeczy i uczono go jak na nie patrzeć. Ze go *nauczono*, to widzimy z listu, którym obdarzył Gołąbkę; że przy rozrywce znalazł czas na obmyślenie i napisanie odpowiedzi, tego nam jest dowodem ta właśnie odpowiedź napisana tak dobrze, że nie powstydziliby się jej

chłopczyk starszy nawet. Przez nieuwagę tylko wkraść się musiała pomyłka co do daty: rokiem zaprowadzenia wiary chrześcijańskiej jest 965 (nie 999). 10 letniemu zatem Kazakowi Sawie należy się pierwsza nagroda. Wypracowaniu *Prymulki* nic także nie ma do zarzucenia, trafny wybór, rozwinięcie myśli poprawny język a styl w samą miarę ozdobny, zasługuje na wynagrodzenie jednak jakieśmy to wyżej powiedzieli, uważamy za słuszne uwzględnić wiek piszących i dawać pierwszeństwo młodszemu, jeżeli ci młodszy zadość czynią naszym wymaganiom.

8-o letni *Benjamin*ek i 14 letni *Łacinnik* trafne także dali odpowiedzi, każdy ze swego punktu widzenia. Obydwom należy się także nagroda, Benjaminowi zaś nadto pochwała za porządne, równe pismo. Nie tak to łatwa rzecz utrzymać pióro w ośmioletnich paluszkach, pochopniejszych jeszcze do psucia niż do pożytecznego zajęcia.

Eugeniusz Per. nie wymienił lat swoich; z pisma tylko sądzić możemy, że musi być mniej więcej rówieśnikiem *Łacinnika* i to nas czyni wymagającymi, tem więcej że i fakt obrany za przedmiot wypracowania, nadaje się do rozwinięcia, które pozwoliło by nadać odpowiedzi nazwę *wypracowania*. Nigdy zapominać nie należy, że są wyrazy, w których brzmieniu tkwi zarazem najlepsze określenie rzeczy lub przedmiotu przez nie mianowanego. Inni mniej więcej nieźle wywiązali się z zadania, prace ich wszakże odznaczają się raczej dobrą chęcią jak udatnością, więc ich nie wymieniamy. W następnym numerze zamieścimy rozstrzygnięcie konkursu robót, z niecierpliwością oczekiwane przez pracowite, a liczne nasze czytelniczki,

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

(c. d.)

— Albatrosie — spytałem — powiedz mi ozy i pochod zwierząt zacznie się od najniższych istot?

— Tak jest. Zwierzęta pójdą w porządku swego stopniowego rozwoju.

Tu na dany znak przez *Pióropuszkę*, pochod ruszył i rozległ się śpiew.

CHÓR PIÓROPUSZKA.

Witaj, witaj, witaj!

Świat mówi żeś w bitwie wódz nieulekniomy

I że drżą przed tobą wrogi twój korony

Żeś chyży jak orzeł, żeś jak lew wspaniały.

Witaj w państwie zwierząt, wodzu pełen chwały!

Witaj, witaj, witaj!

Gdy śpiew ucichł, herold wystąpił znowu i oznajmił, że *bezkłonne* pójdą sześcioma gromadami: *Pierwotniaki*, *jamochłanne*, *szkarłupnie*, *robaki*, *stawonogie* i *mięczaki*; że *pierwotniaki* idą pierwsze, oraz że dla tego tak są nazwane, ponieważ mają najprostszą budowę, kawałek galaretki bez wyraźnych organów.

Ciekawy byłem niezmiernie tych galaretek, a jeszcze więcej w jaki one sposób maszerować będą. Galaretki w pochodzie! Czy słyszał kto co podobnego? Wychyliłem się z łoża, ale ujrzałem szereg ludzi niosących naczynia.

— Czy znowu będziemy patrzeli na procesję gazów? — zapytałem *Albatrosa* — miały iść przecież owe galaretki!

— Gazy nosi się w naczyniach zamkniętych, a widzisz przecież że to są otwarte.

— A więc jeżeli nie gazy się tam znajdują, to chyba tylko czysta woda, bo ja nic a nic nie widzę.

Lord Schocking podał mi uprzejmie lornetkę, którą trzy mał ciągle przy oczach i powiedział.

— Niech kolega spojrzy: jest tam w tej wodzie coś, ni by małe, drobne punkciki.

— Gdy niesiono gazy, zdawało ci się także że jedno z naczyń jest puste—odezwał się *Azbest*, który już powołał — a przecież było ono napełnione azotem.

Słuszna uwaga. Przyłożyłem lornetkę do oczu i istotnie zdawało mi się na chwilę, że spostrzegam coś, ni by małe, drobne, żywo poruszające się pyłki, ale to chyba dla tego, że usiłowano we mnie wmówić iż tam coś jest.

— Więc to są owe pierwotniaki o których mówisz? — spytałem *Albatrosa*.

— Tak.

— No, to jest nazwa gromady, ale jakie ich drugie nazwisko?

— *Wymoczki*. Żyją w wodzie słodkiej.

— Dla czego nieś rzeczy, których widzieć nie można?

— Porządek pochodu tego wymaga.

— Jestem przeciwnego zdania, niż kolega — zauważył *lord* — to czego widzieć nie można, jest daleko więcej interesujące, od tego co się widzi.

Byłby może więcej mówić na ten temat, ale *herold* wołał że idą *jamochłanne*, odznaczające się tem, iż ciało ich ma w środku jamę, otoczoną zwykle ramionami, która chłonie w siebie żywność.

— Zwierzątka te wydzielają z siebie masę wapienną — rzekł *Albatros* — która twardnieje i tworzy podstawę dla zwierzątka, rozgałęzioną jak drzewo, białą, czerwoną lub różową. To są *korale*.

Niesiono je w wodzie morskiej. Tu nie potrzebowałem już lornetki; gołemi oczyma widziałem kształty krzewów i pojedynczych gałązek, okrytych zamiast kwiatów, mnóstwem białych gwiazdeczek. Przypomniało mi się że widziałem je już w akwaryum królewicza *Pióropuszka*, za szklaną ścianą sali balowej, którą oświecił dla nas żywymi pochodniami.

— A coź niosą w tem drugim naczyniu? to już chyba nie zwierzątko, tak jakoś dziwnie wygląda, szary przedmiot białawymi pokryty punktami.

— To są *gąbki*. W tej rogowej dziurkowanej materii, żyją zwierzątka drobne, galaretowate, które umierają natychmiast, gdy się gąbkę z morza wyjmuje. Tu zabrzmiał głos *herolda*:

— *Szkarłupnie!* Zwierzątka te mają także ciało galaretowate, ale o tyle wyższe od tamtych, że zamknięte w wapiennej skorupie, uzbrojonej kolcami i dziurkowanój.

— Ho, ho, jeszcze naczynia! — zawołałem — ach, gwiazdy morskie, piękne, różnokolorowe gwiazdy o pięciu i więcej ramionach. Gdyby się nie poruszały, trudno doprawdy byłoby uwierzyć, że to są zwierzęta. A co jest w tych drugich naczyniach? Jakież ciemne, stalowe kule, kolcami pokryte.

— To są *jeże morskie*.

Jeszcze nie miałem czasu przyjrzeć się dobrze tym osobliwym stworzeniom, gdy *herold* zapowiedział *robaki*, objaśniając, że mają ciało płaskie lub okrągłe, miękkie, pierścieniwate i wydłużające się. Wstrząsnąłem się, bo miałem wstręt do robaków wszelkiego rodzaju.

W pierwszym zaraz naczyniu poznałem wijące się w wodzie rzecznej pijawki, brunatne końskie i czarne lekarskie.

— Co to niosą na tej dużej tacy, czarną przykrytą ziemią? — spytałem.

— *Glisty* — odpowiedział *Albatros*.

— Może kolega życzy sobie spojrzeć przez lornetkę? — spytał *lord* uprzejmie.

— O nie, milordzie, dziękuję bardzo.

— Oj, *Janku*, *Janku* — szepnął *Albatros* — nie chcesz patrzeć na jedne z najpożyteczniejszych w świecie istot! Te

biedne ślepe robaczki spulchniają ziemię polykając ją i wydzielając następnie. Nie oceniasz prawdziwej zasługi.

Wziąłem lornetkę lorda i przełamując wstęgi, spojrziałem. Na tacy, wily się okrągłe, wydłużone robaczki, cielistego koloru, niby cienkie, krótkie sznureczki.

— Co to za tasienka znajduje się w tym wązkiem, a wysokim jak pochodnia słoju — spytałem rzuciwszy okiem na drugie naczynie.

— Hm, to jest wróg zdrowia ludzkiego, obierający sobie mieszkanie w kiszka, *tasieniec* czyli soliter.

Aż mi się słabo zrobiło na ten widok. Lord usłużnie podał mi znów lornetkę, mówiąc:

— Okaz prześliczny, kolego, wart dokładniejszego obejrzenia; biała, długa tasienka, jakby zesztukowana z kawałków, to pierścienie. A co za charakterystyczna głowa!

— Mam już tego dosyć — odrzekłem zasłaniając oczy, a lord roześmiał się.

Ale oto znów herold wyjechał na plac zapowiadając ukazanie się *stawonogich*, i objaśniając, że ciała ich złożone jest z obrączek, czyli stawów; że mają różki na głowie, oczy duże, z wielu sześciobocznych oczek złożone i trzy do pięciu par nóg, oraz że wszystkie składają jajeczka — Albatros dodał:

— Na przedzie idą *owady*, opatrzone skrzydłami; niektóre mają ich nawet po dwie pary; wierzchnia bywa twarda i osłania drugą, delikatniejszą, do lotu służącą.

— A co to noszą na drzewie?

— Chrabąszcze, bo o ile możności w takich należy przedstawiać zwierzęta warunkach, w jakich żyją. Na drzewach też i wśród krzewów, noszą szczypawki, jelonki, biedronki. Inne owady mają skrzydła siatkowate, jak pszczoły, osy, mrówki, i oto niesione są w gniazdach, dla okazania zdolności do budownictwa tych małych stworzonek.

— A co to noszą w tych klateczkach z cieniutkiego drutu?

— Muchy, komary, bąki, karaluchy, szarańcze, koniki polne, ważki, motyle i ćmy.

Człowiek niosący klatkę z motylami otworzył ją, i wyleciały z niej te, jak je nazywał Pióropuszek „kwiaty latające”, najrozmaitszych barw, błyszczące w słońcu skrzydłami zabarwionymi szkarłatem, błękitem, wyglądającymi jakby złożone były ze szmaragdów, złota i srebra. Bujały one chwilę nad głowami widzów, ku ich uciechu i zabawie.

— A to co znów, pomiędzy gałązkami drzew i na ramach porozpinana jakaś siatka?

— Jakto nie poznajesz? To pająki, na ich własnych warsztatach tkackich, na pajęczynie; są one bogato uposażone w nogi, bo mają ich aż ośm, oraz ośm pojedynczych oczek.

— Czy wszystkie przędą pajęczone?

— Niedźwiadki i skorpiony nie; przędzie znakomicie pająk krzyżakiem zwany.

— Ach, co ja widzę! raki zwyczajne w naczyniu z wodą, na podkładzie z zielonych liści, doprawdy raki!

— W tem drugim są raki morskie czyli homary i kraby. Skorupa na wszystkich pierścieniowata, a przednia para nóg, to kleszcze.

— Nie przypuszczałem nigdy żeby raki były tak blisko z pajakami spokrewnione, że zaliczają się nawet do tej samej gromady. Lubiłem zawsze bardzo zupełną rakową, a teraz już mi chyba nie będzie smakowała!

Herold zaczął wołać że obecnie nadeszła kolej na *mięczaki*, które mają ciała miękkie, bez pierścieni, a większość opatrzone jest skorupą, czyli muszlą.

Cóż to za prześliczne były owe *ślimaki* niesione na ziemi wśród roślin, i owe ostrzygi najrozmaitsze w ich własnych domkach, czyli muszlach jaskrawo ubarwionych, zanurzonych w naczyniach z wodą morską! Najskromniej jeszcze między nimi wyglądał dom tego, który jak mi powiedział Albatros, produkuje perły. Prawdziwa zasługa nie lubi wyróżniać się powierzchownością. Widziałem też straszliwe potwory mające liczne ramiona opatrzone mackami, owe *głowo-*

nogi, o których tyle nazywałem się okropności, i sepię, dającą farbę czarną.

— Na tem się kończy, pochodź bezkręgowych — rzekł Albatros — teraz kolej na *kręgowce*. Właśnie herold przybycie ich obwieszcza.

Herold wołał:

— Szlachetny dział kręgowych odznacza się tem, że zwierzęta do niego należące są opatrzone kośćmi; mają wzdłuż ciała kręgosłup i krew czerwoną. Na czele pochodu pójdą ryby. Skóra ich pokryta jest łuskami, oddychają skrzelami, rodzą się z jajek czyli ikry i krew mają zimną.

— Ryby w pochodzie! Albatrosie, ten dygnitarz chyba z nas sobie żartuje. Rozumiem że małe rybki mogą być niesione w naczyniach, ale cóż będzie z wielkimi?

— Zobaczysz — odrzekł mi uśmiechając się tajemniczo — patrz tylko pilnie w tamtą stronę w którą się teraz zwrócił król Póropuszek.

Zauważyłem że wszyscy tam spoglądali, jakby w oczekiwaniu czegoś nadzwyczajnego. Nagle posłyszeliśmy szum jakby zbliżających się wód i ujrzyliśmy, jak fale biegnąc z impetem, wypełniły dawne łożysko kanału po brzegi, a na powierzchni wody ukazały się setki, a może tysiące ryb. Poznawałem zdaleka szczupaki, karpie, okonie, sandacze, sumy, liny, węgorze, jesiotry, płotki i inne ryby wód słodkich, między którymi złote rybki w wielkiej obfitości igrały niby gwiazdki migocące na niebie, którego czysty lazur odbijał się w wodzie.

Niespodzianka ta wywołała nieopisaną zachwyt widzów. Ja sam siedziałem jak wryty, osłupiałemi oczyma patrząc na obraz jaki miałem przed sobą. Anglik tylko nie okazał zdziwienia: chudemi palcami gładził swoje rude faworyty, a oczy jego przygasłe nie ożywiły się nawet.

— Pióropuszek chyba ma na swoje rozkazy czarowników — rzekłem do Albatrosa.

— Nie czarowników, tylko biegłych inżynierów — odrzekł z dumą. — Skorzystali oni z dawnego łożyska kanału, który nieco pogłębiono, i spuszczone teraz do niego wodę za pomocą szluz, słodką z rzeki pobliskiej, a morską...

— Więc nie wszystkie ryby w jednej wodzie były?

— Te które widziałeś, wszystkie, ale w tej chwili woda w kanale zmieniła się, choć stało się to w sposób niewidzialny dla publiczności. Woda słodka razem ze znajdującymi się w niej rybami, odpłynęła za pomocą zbudowanego umyślnie w tym celu spadku do rzeki, a morska wypełniła kanał.

Albatros mówił prawdę. Na falach wody, pływały teraz śledzie, sardynki, ryby dziwacznych kształtów widziane przezemnie dotąd tylko na rycinach, przy opisie przygód żeglarzy i podróżników: okrągłe, tarczowate, najeżone kolcami — wreszcie pojawiły się jakieś straszliwe potwory wielkich rozmiarów. U jednego widziałem szczękę górną niesłychanie długą, istną piłę z zębami po obu stronach, i Albatros piłą ją też nazwał; innej szczęką przedłużała się w kształt miecza, i ta się nazywała miecznikiem; innej jeszcze głowa miała najwyraźniejszy kształt młota, na którego obu końcach były duże oczy. Za nimi szły bijąc ogonami rekiny i otwierając paszcze, jak gdyby chciały kogo połknąć; damy na ich widok wydawały mimowolne okrzyki przestraszenia, choć nie groziło im żadne niebezpieczeństwo w łożach znajdujących się na wzgórzu. Co mnie zaś najwięcej tu zachwyciło, to ryby latające; mają one bardzo duże pletwy, uderzają więc nimi o powierzchnię wody, wzbijając się nieco po nad nią w powietrze i unoszą w niem niby ptaki, dopóki pletwy zastępujące im w tym razie skrzydła, z wody nie oschną — bo wtedy nie mogą już nimi swobodnie poruszać i opadają w wodę napowrót. Jedna z tych ryb kształtem pletw przypominała mi jaskółkę, a druga pawia, tak bogato ubarwione były jej pletwy zielone, szafirowemi posiane kółkami. Co zaś mnie najwięcej zdziwiło, to konik morski, istny szkielec z głową podobną do głowy konia. Gdybym go nie teraz i nie przy jasnym słońcu, ale przy świetle księżycy zobaczył, a był o kilka lat młodszym, pomyślałbym że to jaka żarłoczna ryba, co dużo nie-

winnych płotek natępiła, pokutuje po śmierci w tych samych wodach, które były świadkami jej występków.

Głos herolda zapowiadał teraz ziemnowodne czyli płazy.

— Zwierzęta te — mówił — odbywają przemiany. Gdy się wylęgną z jajek, powierzchowność ich zbliżona jest kształtem więcej do ryb; nie mają płuc tylko skrzela i wskutek tego żyć muszą w wodzie. Później postać ich zmienia się stopniowo: tracą ogon i skrzela a wyrastają im nogi i płuca. Wtedy stają się podobnymi do swoich rodziców i w skutek tego żyją na lądzie. Krew mają zimną, a ciało pokryte nagą skórą.

Zauważyłem że woda w kanale bardzo opadła, a miejscami gdzie grunt był nieco wyższy, błoto przeglądało. Pojawiało się mnóstwo żab: poznawałem między niemi ropuchę, a na krzewach nadbrzeżnych widziałem łażące żabki drzewne. Żaby zaczęły chórem śpiewać swoje zwykłe pieśni, ale nie można ich było dobrze słyszeć przy dźwiękach granego przez orkiestrę marsza. Od czasu do czasu tylko słyszeliśmy plusk. To piękne centkowane salamandry, puszczone na brzegu, wskakiwały do wody i przepadały gdzieś bez śladu.

— Teraz płazy ustąpią miejsca gądom — wołał herold — istotom wyżej posuniętym w rozwoju. Skóra ich nie jest już nagą, ale pokryta łuskami albo tarczami. Gady nie mają dwoistej natury; oddychają płucami całe życie, rodzą się z jajek i krew mają także zimną.

Tu na kanale w którym woda znowu się podniosła, pojawiły się żółwie lądowe, rzeczne, morskie; między niemi był i szylkretowy, którego już widziałem w owym prześlicznym zaprzęgu ofiarowanym przez Pióropuszkę księżniczce Gori, a potem krokodyle. Brzegiem kanału przesuwały się chyłkiem jaszczurki, węże, między którymi wszyscy poznali grzechotnika, boa dusiciela, żmije, padalce i węża wodnego.

— Ptaki! — zawołał herold — te już mają krew ciepłą, dwie nogi, dziób, skrzydła i pokryte są pierzem. Będzie ich aż siedm grup.

— Ptasznicy trzymają je w klatkach — rzekł Albatros — i czekają tylko skinienia Pióropuszką. Najprzód puszcza *drapieżne*.

Królewicz skinął i posłyszeliśmy znowu szum; ale nie tak potężny jak szum wód; był to szum skrzydeł w powietrzu: leciały orły, sokoły, sowy, kondory, jastrzębie i inne, o których nazwy nie pytałem nawet, tak ich było wiele. Widzowie ścigali je wzrokiem w powietrzu, a gdy spuściliśmy oczy na ziemię, środkiem kanału w którym samo już tylko pozostało błoto, kroczyły ptaki *brodzące*, to jest takie które szukają żeru brodząc w błocie, jak mnie objaśnił Albatros. Wolnym, poważnym krokiem, głośno klekocząc, stąpał dobry mój znajomy, bocian; za nim kuzynka jego czapla, dalej szare, poczciwe żorawie, wspaniałe czerwonaki. Za niemi wypuszczono *łażące*, to jest takie, które łażą za żerem po drzewach: jaskrawe papugi, które uczepliwszy się gałęzi nadbrzeżnych, krzyczały na całe gardło: „Cześć Bożydarowi!” następnie kukulki i dzięcioły, które jednakże wypuszczone z klatek, wzbily się w powietrze, zatoczyły kręgi i zniknęły. Dla mnie najpiękniejszy był widok *gołębi*, między którymi poznałem gołębie domowe, gołębie dzikie i synogarlice. Te przyzwyczajone do obcowania z ludźmi, nie odleciały daleko, ale osiadły w gaju na wzgórzu kapłanów, nie lękając się ani ludzi, ani koni.

Dno kanału było już prawie suche; środkiem niego szły teraz *grzebiące*, to jest takie, które szukają pożywienia grzebiąc w ziemi: kury, bażanty, indyki, perlice. Za niemi, słusznie *biegającymi* nazwane, biegły, jakby je kto gonił, strusie, kazuary, dropie. Albatros powiedział mi, że one wprawdzie nie fruują, bo małe mają skrzydła, ale za to przyroda obdarzyła je silnymi nogami. O *pływających*, które się po nich ukazały, już ja sam wiedziałem, niczyich nie potrzebując objaśnienia, że mają nogi pletwowe, przydatne do pływania, niby wiosła: były to gęsi, kaczki, mewy, bezłotki; sły kwacząc, gęgając, podkaszane i śmieszne troche, szargając się w błocie.

Ale teraz zrobił się nad głowami naszymi wielki gwar

i harmider zupełnie jak w lesie na wiosnę, gdy stada ptaków nadciągają z ciepłych krajów, a powietrze napełni się ich krzykiem i śpiewem. Wypuszczono wszystkie *wróblowate*, same drobne ptaszki przeważnie śpiewające i pożyteczne: wróble skowronki, słowiki, sikory, szpaki, dudki, kolibry, rajskie ptaki i Bóg wie jaki jeszcze drobiazg, a tak ich było wiele, że gdy się wzbily nad naszymi głowami, na kilka sekund zrobiło się mroczo, jak gdyby chmura gęsta słońce chwilowo przysłoniła.

Szum i gwar ucichł, śpiewacy rozlecieli się po łąkach, lasach i ogrodach, a herold jał znów głosić ukazanie się *ssaących*, najdostojniejszej gromady królestwa zwierzęcego, zaznaczając ich cechy główne: że rodzą się żywe, że w młodości karmią się mlekiem matek i że mają skórę pokrytą sierścią.

— Ach, cóż za szerególne, dziwaczne zwierzęta Albatrosie! — zawołałem — nogi przednie mają krotsze od tylnych i skaczą tak zabawnie, a z przodu mają zagłębienie nakształt worka w którym niosą młode.

— Właśnie też zowią się *workowatemi*: są to kangury, a te drugie dydelfy, czyli oposum. Dają one ciepłe, miękkie futerko zwane oposami.

Z wielkim zdziwieniem posłyszeliśmy znowu charakterystyczny szum i ujrzeliliśmy wszyscy że woda w kanale przybrała, wypełniwszy go aż po brzegi. Włynęły najprzód łodzie z majtkami, wspaniale przystrojone wstążkami i zielenią i stanęły po obu stronach szeregiem, jakby oczekując na coś, a między niemi sunął wspaniały *wieloryb*. Olbrzymi zwierzę, któremu niewygodnie i ciasno było w kanale, miotał się wściekle, bił wodę ogonem opryskując bliżej stojących widzów, i wyrzucił w górę wysoko fontanny nozdrzami. Za nim płynęły wieloryby mniejsze, delfiny, a majtkowie konwojowali te zwierzęta, poruszając przy nich z boku wodę wiosłami, jakby im chcąc ułatwić przepłynięcie przez wązkie stosunkowo koryto kanału.

— Ja myślałem że wieloryb jest rybą — odezwałem się — i nie spodziewałem się nigdy znaleźć go w liczbie ssących!

— Ci tylko tak mniemają, co nie znają zoologii — odrzekł Albatros.

Wieloryb odpływem kanału powędrował do morza, łodzie zniknęły, a po mokrym piasku, szły teraz *wielokopytne*: słonie, nosorożce, hippopotamy, tapiry i dziki, ciężka artylerja stąpająca niezgrabnie.

— Teraz pójdą *dwukopytne*, czyli przeżuujące — rzekł Albatros.

— Przeżuujące, co to znaczy?

— Znaczy to że pokarm pożuty przez nie i połknięty, przetrawiony w żołądku do połowy, wraca do jamy ustnej gdzie żuty bywa powtórnie. Należą do nich krowy, jelenie, kozy, owce, żyrafy, wielbłądy. Pierwszy raz w moim życiu zobaczyłem to pożyteczne zwierzę, o którym tyle się nazywałem; pierwszy raz też widziałem długą szyję żyrafy. Teraz przyszła kolej na *jednokopytne*: znalazłem tam moich znajomych, konie, osły, tylko zebra była dla mnie nowością; nie mogłem się dość nadziwić temu przegowanemu, tak podobnemu do konia zwierzęciu.

— Czy widziałeś kiedy *pletwonogie*? — zapytał mnie Albatros.

— Nie — odrzekłem — ale ciekawy ich jestem bardzo.

— Zamiast nóg mają pletwy i żyją w morzu. Przypatrz im się dobrze, bo oto nadchodzą.

Ujrzałem morsy, potężnymi opatrzone łkami i foki, na które ludzie tak chętnie polują dla ich tłuszczu.

— A teraz co będzie? — zapytałem.

— *Gryzące*. Wyobraź sobie, zwierzątka te mają bardzo długie przednie zęby, które im ciągle odrastają. Aby je przytępić, gryzą ustawicznie twarde przedmioty.

Myszy do tej rodziny należące, przesunęły się przez widownię tak szybko, że zaledwie je dostrzedz mogłem; za niemi przemknęły szczury. Wiewiórki pouciekały nie doszedłszy do środka placu, a jedna wskoczyła na drzewo nadbrzeżne, gdzie siedziała zestrachana, nakrywszy się ogonem. Zające puszczone, przycisnęły się przy ziemi i przesadziły plac w olbrzy-



ABCADŁO.

B,a—ba; b,e—be; b,i—bi;
 Nagroda za pracę nie chybi;
 Uczyła się dziatwa czytania,
 I czego katechizm zabrania,
 I kiedy duszyczka szczęśliwa,

I jak się tu wszystko nazywa,
 I w jakiej ma myśleć osnowie,
 A wszystko by rozum mieć w głowie,
 By w oczach mieć jaśnieją, weselęj,
 By w sercu mieszkali anieli.

W. S.

mich susach, bobry tylko nieco większą zachowały powagę; weszły do swoich domków znajdujących się w małej odnodze kanału.

— Oto przedstawiciele *owadożernych* — powiedział Albatros — pokazując mi melanoboliczne jeże i kilku kretów.

— A to już chyba *drapieżne* — pomyślałem, widząc jak prowadzono psy na smyczy, oraz na łańcuchach wilki i lisy. Koty popędzane, umykały jak wpród zające. Lwy szły wstrząsając wspaniałe grzywami, tygrysy i hyeny pokazywały zdaleka zęby; niedźwiedzie szły pomrukując, pod przewodnictwem jednego który kroczył na tylnych łapach,

jak człowiek, podpierając się kijem. Kuny i łasice umykały jakby je kto gonił.

Dziwny i bynajmniej nie piękny widok sprawiała *nietoperze*, mające błoniaste skrzydła rozpięte między nogami i ogonem. Wzlatywały one trochę w górę i opadały zaraz, bo nie mogą znosić światła dziennego i latają tylko w nocy. Na ostatku szły *małpy*: orangutang, goryl, szympan, pawian, wykrzywiając się pociesznie i wyprawiając najrozmaitsze miny do publiczności.

Skończył się nareszcie ten olbrzymi pochód, a ja siedziałem oszołomiony tem wszystkim na co tak długo patrzyłem.

W przeciągu kilku godzin, przesunęły się przed meni oczyma wszystkie królestwa przyrody w stopniowym rozwoju, jak gdybym patrzył na siedm dni stworzenia — i przygnieciony byłem ogromem potęgi Bożej. Minerale, rośliny, zwierzęta, wszystko, począwszy od istot najniższych do najwyższych oglądałem stopniowo. Widziałem ziemię powstałą z rozkruszenia i zwiętrzenia kamieni; widziałem rośliny, począwszy od kolorowych płam na korze, będących podobnemi do pleśni porostami i cieniutkich niteczek wodorostów, do najwspanialszych drzew i owoców; widziałem zwierzęta począwszy od galaretki żadnym wyraźnym nie obdarzonej organem, aż do małp uderzających wielkiem do ludzi podobieństwem.

(d. c. n.)

PRZED LAT TYSIACEM.

(Dalszy ciąg).

— Pozostaw troskę o swoje losy dobroczynnym bóstwom opiekującym się ludźmi, a tymczasem wysiądźmy! — rzekła Lucylla, i na jej skinienie lektykarze się wstrzymali.

Młode dziewczyny trzymając się pod ręce weszły pod przepyszną kolumnadę Agryppy. Numidyjczycy w pewnej odległości postępowali za nimi, a one przechodziły wzdłuż szeregu kolumn, obok sławnych malowideł i fresków przedstawiających sceny z historyi greckich bogów i bohaterów. Na prawo był okolonny marmurową balustradą plac zwany *Septa*, miejsce zgromadzenia rzymskiego ludu, podczas głosowania Komicyów. Lucylla myślała, że pragnęłaby być tutaj kiedy obecną na jakiej burzliwej naradzie, kiedy by Eneusz Afrańsiusz miał sposobność rozwinąć swój znakomity talent retora... Klaudya przeglądała wspaniałe wystawy sklepów i bazarów gdzie można było nabywać wszystko: drogocenne kamienie, kryształowe czary, kość słoniową, śpiż koryncki, pyszne obrusy, cyzelowane srebro, cyprysowe stoły płacone po milionie sesternów jeden i... nawet niewolników można było tu kupować.

Rozmawiając doszły do cienistych alei laurusowych ciągnących się aż ku brzegom Tybru i służących za widownię rozmaitych zabaw. Obok dwukołowych pojazdów wykwinłni jeźdźcy kłusowali, a różnorodny tłum pieszych, zwolna po bocznych ścieżkach przeciągał; tam orszak młodzieńców otaczał lektykę znakomitęj i pięknej damy, dalej pedagog prowadził wychowanców swoich na puszysty trawnik, gdzie młodzież grała w pierścienie. Niewolnicy z dziećmi swoich panów cisnęli się około budy kuglarza, który na obnażonem ciele ciężkie drągi w równowadze utrzymywał, albo sześciu chłopców jednocześnie podnosił do góry, a brunatno-skórzy Egipcyanie pokazywali obłaskawione węże, które przy dźwiękach muzyki obwijały się dokoła ich piersi, karków i ramion, wrózbierze; szarpali przechodniów za szaty, natrętnie ofiarowywując im swoje przepowiednie; rozbitki mający zawieszoną na piersiach tabliczkę, na której była namalowana ich nieszczęśliwa przygoda, błagali o jałmużnę, a pośród tych tłumów przeciskali się przepokupnie, krzykiem zachwalający swój towar: ciastka i owoce. Nasze znajome postępowaly zacięzioną ścieżką, gdy nagle ktoś głośno zawołał: „Klaudio! Lucyllo!

Był to Kwintus wychodzący z zarośli.

— Spotykam was tuż obok gościńca — rzekł — czyżby piękne konie zajmowały was tak bardzo?

— Rozumie się — żartobliwie odparła Lucylla. Spojrz no Kwintusie, na przykład na owego pysznego siwosza, który teraz skręcił w główną aleję. Cóż za głowa! co za wspaniała grzywa!

— Czy tak! — ze śmiechem odrzekł Kwintus, a Klaudya ścisnęła rękę siostry, albowiem jeźdźcem na siwoszu był Kajus Aureliusz, który swoim pysznym rumakiem kierował z wielką zręcznością i swobodą. Naraz spostrzegł Klaudyę

i zapatrzony się na nią, nie zauważył, że maleniczki kucyk z tak zwanych *manai* rzucił się nań. Jeździec, dwunastoletni może chłopczyna, skręcił wprawdzie kucyka w ostatniej chwili, wszelako nie dość szybko aby ominąć siwosza, który już pół obrotu zrobił na lewo. Grzywa kuca musnęła po szczękach ognistego konia, który parskał, stanął dęba i byłby przewrócił się i jeźdźca przygniół swoimi ciężarem, gdyby nie Kwintus, który przyskoczył szybko, schwytał cugle przy pysku i siwosz po krótkiej walce stanął zupełnie uspokojony.

— Dziękuję ci serdecznie, dziękuję, przyjacielu — rzekł wzruszony Aureliusz ściskając dłoń Kwintusa. — Ocaliłeś mnie od śmierci lub od kalectwa. O! gdybym mógł kiedykolwiek oddać ci jaką przysługę.

— Drobnostka! nie warto doprawdy o tem wspominać — z niedbałym ruchem ręki odpowiedział Kwintus, a potem zamyslił się... i nagle dodał z uśmiechem: — a zresztą, któż wie?.. Mogłoby przytrafić się iżbym twój uczynności zapotrzebował niebawem.

— Uszczęśliwiłbyś mnie każdym twojem zadaniem. Jestem gotów na wszystko czegośby zażądał odemnie.

— Dobrze — więc czekajże na mnie proszę, dziś jeszcze po pierwszej wigili.

— Niestety! tą godziną już nie rozporządzam.

— Więcej późnięj! o samej północy.

— Zgoda! do widzenia przyjacielu.

— Zapewne nie gniewasz się na mnie, siostrzyczko, że mi się nastroczyła sposobność uchronienia od nieszczęśliwego wypadku, rycerza imieniem Kajus Aureliusz. Zapewne nie masz o to do mnie urazy? — żartował Kwintus schodząc z siostrami aż na sam brzeg Tybru. Przez chwilę przypatrywali się czółnom krążącym po rzece, ogrodom, willom i pagórkom po tamtej stronie Tybru i Sorakcie, gorze o pięciu wierzchołkach.

— Wkrótce ją śnieg pokryje — rzekła Lucylla.

— O, tak, zima się zbliża — odpowiedziała Klaudya — a wówczas co u nas będzie?...

— Bóg wie! — szepnął Kwintus i uśmiechnął się że mimowolnie wezwał *Boga* a nie *bogów*, jak to było u Rzymian zwyczajem.

XIII.

Nazajutrz zimne, gęste chmury, długimi smugi zasnuły niebo ponad Romą. Ostry wiatr spiętrzył fale Tybru i rzucał czółnami i statkami stojącymi na kotwicy u podnóża Awentyńskiego pagórka. Drobny, gęsty deszcz padał bez przerwy; na mieście było prawie pusto, nieliczni przechodnie ulicami przesuwali się otuleni w *paenulae*, czyli płaszcze ze skóry lub ostrzej wełny, zabezpieczające od przemoknięcia i chłodu.

Wielkie wyścigi, które się miały tego dnia odbyć, zostały odwołane.

Kwintus obiadował w towarzystwie dwóch tylko klientów; pożegnawszy ich, gdy się ściemniać zaczęło, stanął we drzwiach triclinium i patrzył co się dzieje na dworze. Słota się wzmogła, obłoki pędziły jedne za drugimi, wiatr हुआł, szalał, wył...

— Wspaniała czas dla wykonania naszych zamiarów — myślał i skinął na młodego niewolnika, który właśnie niósł fajerkę z żarzącymi węglami.

— Dokąd, Blepirusie? — zapytał.

— Do twego pokoju, panie.

— I ja przyjdę tam zaraz i chcę abyśmy przez chwilę pomówili w cztery oczy.

— Jak każesz panie.

Niewolnik w pokoju Kwintusa postawił uważnie fajerkę na posadzce, bo w starożytnym Rzymie ogrzewano pokoje za pomocą przenośnych pieców i węglami napełnionych spiżowych fajerek, aczkolwiek i kominki były także znane.

Kwintus nadszedł niebawem.

— Słuchaj Blepirusie — wyrzekł — wyobraź sobie, że obchodzimy Saturnalie i wedle prastarego zwyczaju zasiadłeś przy swoim stole, a ja twój pan podaję ci potrawy.

Saturnaliaми zwano uroczystości w drugiej połowie grudnia urządzane na cześć bożka Saturna. W te święta cały kraj szalał a niewolnicy spożywali ucztę przy pańskich stołach na znak, że pod panowaniem Saturna, niema różnicy stanów... Podczas Saturnalii w zabawach i słowach zupełna panowała swoboda.

Blepirus patrzył na Kwintusa zdziwiony.

— Widzę, że mię nie rozumiesz — ciągnął młodzieńiec — a więc wytłomaczę się jaśniej: powiedział mi szczerze i otwarcie, czy względem ciebie byłem kiedykolwiek niesprawiedliwym, czy wyrządziłem ci przykrość niezasłużoną. No powiedz, proszę! rozkazuję ci!

— Panie — odpowiedział Blepirus — mówię najszczerszą prawdę. Może nie jednemu ze swęj służby zekleś kiedy ostre słowo, lecz dla mnie byłeś zawsze dobrym, łaskawym i pobłażającym. Kocham cię panie, z całego serca.

— Dziękuję Blepirusie i masz właśnie sposobność dowieść mi swego przywiązania, oddając mi pewną przysługę...

— Panie! uczynię wszystko, co rozkażesz!

— Najpierw na cienie ojca twego i wszystko co ci jest świętem i drogiem przysięgnij mi, że będziesz milczał jak grób...

— Przysięgam!

— Więc zaraz przygotuj się do drogi, a służbie całej i klientom moim powiedz, że idziemy do Likorydy. Później dowiesz się więcej...

(d. c. n.)

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

— Mam w Bogu nadzieję, że się ujrzymy niedługo w dobrem zdrowiu — powiada, przyciskając do serca malutkie wnuczki.

— Kiedy wrócisz?... dziś?... czy jutro?... pyta sędziwa jego małżonka, przywykła do podobnych wypraw i obawy swoje mężnie trzymająca na wodzy.

— Któż to wiedzieć może? Jutro prędzej niż dzisiaj, bo do zachodu już niedaleko... No w drogę, Leonie... Bóg z wami...

— Z Bogiem! z Bogiem! — odpowiadają mu głosy rodziny, drżące i łzami nabrzmiałe.

— Z Bogiem, *môssi*! (monsieur!) — wołają za nim głosy murzynów, czerwono-skórych, mulatów, spokojne ale akcentem szczerzego życzenia nacechowane, bo Biały Pan, ojcem jest dla służby swojej, wchodzi w ich potrzeby i troski i od małych dzieci zna cały ten tłum różnobarwny, w posiadłości jego urodzony.

Don Leon żegna się także z rodziną. Młody, odważny, chciwy wrażeń, nie lęka się o życie swoje i przez myśl nie przeszło by mu nawet puszczać wuja samego na wyprawę, bądź co bądź, niebezpieczną—dziwno mu tylko trochę, że wuj wcale go o zdanie nie zapytał. Krótko i zwięźle zakomenderował: „w drogę!” i na tem koniec. Wychowaniec europejskich uniwersytetów — jak don Leon rad siebie nazywał — nie przywykł do tego, by go traktowano jak bezwłasnowolnego dziecka i zapomniał oddawna, że w rodzinnym jego kraju warunki miejscowe nie dały upaść patryarchalnej, często nawet despotycznej władzy naczelnika rodziny.

Wyrusza jednak don Leon. Oprócz karabinu, rewolwery i noża, wziął jeszcze z sobą sarbakaną, która w mowie miejscowej zwie się „*esgaravatana*” i z pozoru niewinna zabójczym jednak jest narzędziem. Już to samo, że Biały-Pan kazał się w nią uzbroić ludziom swoim, stanowi dowód najlepszy, że ma zamiar nieubłagany być dla rabusiów. Na pozor, zdaje się to niczem ta cienka, wydrążona wewnątrz rurka, długa na trzy metry prawie, a złożona z dwóch rurek, z których jedna, trochę cieńsza, brzegiem swoim wsuwa się w grubszą i przymocowaną jest do niej włóknami roślinnymi

napuszczanemi żywicą. Strzały do sarbakany używane, wyglądają poprostu na zapalki z bardzo twardego drzewa, długie zaledwie na pół łokcia, u podstawy swojej i w połowie długości otoczone zwiłkami jedwabnistej przędzy, pochodzącej od gąsienicy *bombax ceibo*. Trudno prawie uwierzyć żeby przyrząd tak prosty kłaść mógł trupem jaguara lub tapira, a jednak krajowcy nie znają innej broni i wolą posługiwać się sarbakaną niż najlepszą bronią palną, bo strzała szybko i pewnie trafiająca do celu, lekko na końcu rozszczepiona i zaciósana śpiczasto, ostrze ma umoczone w najstraszniejszej z trucizn: w *curare* i najłżejsze jej ukłócie jest równie śmiertelnem jak ukąszenie najjadowitszego węża.

W milczeniu ciągnęła przez ogród garstka mężczyzn idących na poskromienie zuchwałych rabusiów. W miarę jak się zbliżali ku chatom i zabudowaniom, coraz wyraźniej dolaływał ich odgłos lamentujących kobiet, coraz mocniej dawał się czuć dym unoszący się nad zgłiszczami karbetu. Mimo-woli więc Biały-Pan, idący na czele swojej gromadki, przyspieszał kroku, bo oprócz chęci przekonania się jak wielką wyrządzono mu szkodę, pragnął on jeszcze przekonać się o stanie zdrowia biednego Kassyby, który od lat wielu jest prawą ręką jego i wiernym włodarzem dozorującym robót polnych.

Na szczęście Kassyba nie padł pod ciosami złoczyńców. Ciężko ranny nożem, odurzony uderzeniem maczugi, przyszedł do przytomności dzięki staraniom kilku kobiet, które zatamowały krew, obłożyły mu głowę chłodnym liściem wodnych roślin i wlały w usta trochę *tafi*. Osłabiony z trudnością jeszcze mówić mogąc, opowiedział wszakże, że wyprawivszy robotników, pozostał sam jeden w *karbecie*, dla uporządkowania złożonego w szopach stężalego już kauczuku, gdy wtem zeszli go niespodziewanie zbrojni napastnicy, i rzuciwszy się na niego powalili na ziemię... Ranny, związany, z zakneblowanemi usty leżał tak od południa, straciwszy z bólu przytomność i gdyby nie Lomi leżałby dotąd jeszcze. Pozbywszy się jednego świadka, łotry gospodarować jęli po swojemu, zrabowali co się dało, zabrali tyle żywności ile jęj każdy mógł unieść, a resztę z dymem puścili...

— Iluż ich było? Znasz ich? tutejsi, czy obcy?

— Z piętnastu... Między nimi sześciu białych, zdaje mi się, że zbiegli z Kajenny galernicy, reszta mulaci... Mówili z sobą po portugalsku, tamci po francuzku..., nie tak, jak państwo mówią... inaczej jakoś nazywali wszystko. Jeden wdrapał się na drzewo i patrzył w stronę dworu... mówili że powrócą... z dymem puszcza... wyrzną... zrabują do szcztetu...

Tchu zaczynało mu braknąć, głos wiązał w gardle, ogarniała go zresztą gorączka a z nią razem maligna. Nieprzytomny już bełkotał ciągle:

— Wyrzną... z dymem puszcza... zrabują...

Pan Valmès polecił by natychmiast przeniesiono ranne-go do dworu, gdzie w osobnym, na ten cel przeznaczonym domku pielęgnowano chorych pod troskliwym dozorem samej pani i spokojny już o Kassybę, naradzać się zaczął ze swymi towarzyszami co do kierunku zamierzonej pogoni. Wszyscy jednomyślnie byli zdania, że w las zapuścić się trzeba. Dla ludzi od dziecka przywykłych do zagłębiania się w najdziksze ostępy odwiecznych lasów dziewiczych, odnalezienie tropu w puszczy nie było rzeczą trudną; umieli oni korzystać z najdrobniejszych wskazówek, takich nawet, których istnienia ani by się domyślał wychowaniec europejskich uniwersytetów pomimo bystrości umysłu i wzroku.

Tym razem jednak złoczyńcom zdawało się nie wiele zależeć na zatarciu śladów za sobą. Zdeptane trawy, obłamane tu i owdzie gałęzie, tworzą szlak prostą prawie linią utworowaną w leśnej gęstwinie. Purpura i fiolet wspaniałego zachodu słońca przenika aż pod sklepienie zwikłanych, gęstą siecią listowia zasnutych gałęzi niebotycznego starodrzewu, tu i owdzie odzywa się leśny jakiś mieszkaniec, czasem ptak do gniazda dążący zatrzepocę skrzydłami. W jaskrawej łunie zachodu, głębokie zachowując milczenie, ostrożnie i bez szelestu stąpają indyjskim pochodem łowcy, tropiący zwierzy-nę stokroć od dzikiego zwierza niebezpieczniejszą. W tem

Indyanin Piragiba, na czele kolumny idący, zatrzymał się, wciągnął nozdrzami powietrze, w tył głowę przechyliwszy zdawał się upatrywać coś pomiędzy gałęziami, aż wreszcie odwrócił się do idącego tuż za nim p. Valmès i niedosłyszalnym prawie szeptem rzucił Białemu-Panu w samo ucho:

— Mamy ich... Tu są niedaleko...

Biały-Pan głową tylko skinął, ani myśląc powątpiewać o prawdziwości udzielonej mu wiadomości, ale don Leon zapytał niedowierzająco:

— Skąd wiesz? Nie widać ich ani słyhać.

— Ogień palą... dym czuć...

— Ogień rozpalili mogli krajowcy...

— Nie, to ogień rozpalony przez białych... przez ludzi co puszczy nie znają.

Stanowczość tego twierdzenia zdumieniem przejęła don Leone.

— Skąd wiesz? — zapytał znowu.

— Dym czuć — zwięźle odparł Piragiba.

— I cóż stąd? Sam go czuję, każdy ogień dym wydaje.

Ale Pirogiba miał rację. Pod cieniem drzew prastarych, w gęstwinie której nigdy nie przebijają promienie słońca, panuje wilgoć taka, że przesycone parą wodną powietrze zdaje się ciężać nad ziemią nieruchomym słupem, mieniącym się tu i owdzie w opalowe połyski. W ciężkiej, aromatem roślin duszącej i wilgocią przejętej atmosferze, dym, zamiast wzbijać się w górę, siania się błękitnym tumanem, strzępami po gałęziach się wiesza i ostrym, gryzącym wyziewem do nosa bije. Miał słuszność Pirogiba: nigdy krajowiec nie użyłby za paliwo drzewa, którem rozniecić mogli ogień tylko Europejczycy, bo dym z niego się wydobywający ma w sobie właściwą a nieprzyjemną woń, której udziela potrawom i czyni je wstrętnymi dla podniebienia.

Kierowani coraz gęstszym obłokiem dymu, wydostali się wreszcie nasi podróżni na polankę, gdzie ujrzeli rozniecone ognisko, a w koło niego sześcioro ludzi z krótko ostrzyżonymi głowami, zajętych zajadaniem zrabowanych w karbecie wiktuałów. Ochryple, bełkocące ich głosy dowodzą, że zaglądali już do beczułki, która stoi opodal trochę od ogniska i zawiera zapas taffi, pozostawioną w karbecie na użytek miejscowych robotników.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

od Haliny dla Niezapominajki z Zacisza i Cichéj Wody.

Z następujących sylab: Ar—be—bor—bul—cap—cho—dra—decz—drychs—cap—es—ford—fry—go—guay—gród—ham—ir—ka—ka—lask—ma—ne—no—nord—o—o—ox—ren—ren—res—raj—ru—se—sek—ta—ta—to—tysz—u—yon—zam—zi—ułożyć wyrazy, których znaczenie:

1. Miasto nad zatoką Fińską, pamiętne pokojem 1809 r. 2. Rzeka w Rosyi. 3. Miasto w gub. łomżyńskiej. 4. Góra w paśmie Anti-Libanu. 5. Rzeczpospolita w połud. Ameryce. 6. Przylądek na północy Szwecyi. 7. Rzeka we Włoszech. 8. Miasto w Afganistanie, punkt handlowy między Persją i Indyami. 9. Rzeka wypływająca z Sudetów. 10. Miasto w gub. piotrkowskiej. 11. Największa z wysp Karolińskich.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Od Redakcyi. — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Przed lat tysiącem. — Abecadło p. W. S. (z drzew.) — W dziewiczych lasach Ameryki. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Siostrzyczki, wiersz p. Helenę Bojarską. — Pudeł p. Maryę Weryho. — Opowiadanie ciotki Rózi. — Dwa czyżyki. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

12. Miasteczko we Włoszech pamiętne zwycięstwem Napoleona nad Austryakami. 13. Miasto w Macedonii. 14. Rzeka w Syberyi. 15. Miejsce warowne nad Drawą. 16. Port w Niższych Włoszech. 17. Miasto w Anglii sław. daw. uniwersytem. 18. Miasteczko na Kujawach. 19. Rzeka w połud. Afryce. 20. Dopływ Sekwany. Początkowe litery tych wyrazów, czytane z góry na dół utworzą znane przysłowie.

NITECZKA ARYADNY.

		ga	dą	ce	kwiat	go	na		
ła	gdzie	bie	bro	lą	ki	łe	świe	bio	sach
ma	źród	prze	wę	na	zbie	trwa	cie	ko	w nie
ka	necz	dre	mo	ła	ra	ka	nie	wy	so
ju	Ha	śnie	ży	ste	ró	tecz	ma	lecz	tam
w ma	Raz	z wię	gdy	we	zo	kwia	są	świe	cie
kła	rze	dły	ma	mo	czy	tu	kwiat	dnak	na
dzie	wecz	ka	o	wsze	za	co	ki	dzą	je
mi	we	łza	ma	dzie	żyw	czych	się	nie	wscho
pa	trząc	o	czy	cię	w o	ką	pią	ro	sach

ROZWIĄZANIA DO N-ru 38-go.

Szarady: Nie — za — do — wo — le — nie.

Łamigłównki sylabowej:

1. Arab. 2. Laponia. 3. Eufrat. 4. Kurant. 5. Sale. 6. Anam. 7. Nabab. 8. Durance. 9. Epir. 10. Raróg. Aleksander Battenberg.

OD REDAKCYI.

Nowi prenumeratorzy na kwartał 4-ty mogą otrzymać początek powieści **Zwalczone uprzedzenie**, drukującej się w dodatku książkowym, za opłatą kop. 25 z przesyłką pocztową. Miejscowi prenumeratorzy zaś za dopłatą kop. 20.

WIECZORY RODZINNE.



SIOSTRZYCZKI,

Bóg dał mamie dwie córeczki,
Ach! cukierki nie dziewczeczki!
Takie słodkie, dobre, grzeczne
I miłutkie i serdeczne,
Że je każdy, każdy w świecie
Musi za to kochać przecie!
Znająż one co to swary,
Kłótnie, sprzeczki, gniewy, kary?
O nie! miłość, zgoda trwała,
Nigdy się tam nie zerwała.
Starsza młodszą wciąż zajęta,
Myśli o niej i pamięta,
Zabawić ją zawsze rada:
To bajeczki opowiada,
To wymyśli figiel jaki,
Tu, tam, biega, tańczy, śpiewa,
Nie skarży się i nie gniewa,
Młodsza za to wdzięczna szczerze,
To za szyjkę siostrę bierze,
To przytula, to ją pieści,
I całuje co się zmieści.
Ach! pocziwe takie dziatki,
To prawdziwy skarb dla matki!

Helena Bojarska.

PUDEL.

ZDARZENIE PRAWDZIWE.

Na przedmieściu Warszawy mieszkało dwoje znie-
dołężniałych staruszków.

Janowa od kilku lat już była chorą i nie wstawała
z łóżka. Stary Jan miał nogi opuchłe tak, że ledwo
chodził.

Byli biedni, więc nie mogli trzymać dużo służby.
Z rana przychodziła stróżka, sprzątnęła pokój, ugotowa-
ła obiad i odeszła.

Do pomocy za to mieli starego pudła. Był to pies
zmysłny i zdawało się że wszystko rozumiał, co do niego
mówiono.

Co rano pudel brał kosz w zęby i szedł do sklepi-
ku. Kupcowa znała go już oddawna, więc zabierała
kosz, wyjmowała pieniądze, kładła bułki w zamian i od-
dawała posłańcowi. Pudel prędko wracał do domu
i przynosił wszystko w całości.

Gdy po drodze pies jaki czasem rzucił się na niego
i chciał co porwać, pudel stawiał kosz na ziemi, zawar-
czał na złodzieja, zaszczekał, a czasem i ugryzł. Trwało
to tak przez lat kilka.

Wszyscy sąsiedzi znali pudła, każdy go lubił, a kup-
cowa nie żałowała dać mu czasem kawał chleba w na-
grode za wierne usługi.

Razu jednego Jan wybierał bułki z kosza i spo-
strzegł że jednej brakuje; nie posądził jednak pudła
o kradzież i był pewny, że się kupcowa pomyliła.

Nazajutrz powtórzyło się to samo, i trzeciego
i czwartego dnia brakowało jednej bułki.

Zdziwiło to niezmiernie staruszków.

— Czyby — myśleli — ich wierny pudel zjadał
bułkę po drodze?

— Ale to być nie może — powiada Jan — to ktoś
mu zabiera! Muszę się przekonać.

Następnego poranku posłał jak zwykle psa z koszem
do sklepu, a sam ubrał się i o kiju wolno wyszedł na jego
spotkanie. Niezadługo zobaczył pudła wracającego z ko-
szem, usunął się trochę, przeszedł za róg domu. Pies prze-
biegł niepostrzeżenie, a stary kulejąc szedł za nim, śle-
dząc go wciąż wzrokiem.

Widzi, że pudel biegł najpierw wprost, wprost ku
domowi, a następnie zboczył na jakies podwórze. Jan
za nim pośpieszył.

I jakiż widok przedstawił się jego oczom!

Pod strzechą, w brudnym kącie podwórza leżało
kilka szceniąt. Były to słabe, chude stworzenia, opusz-
czone widocznie przez matkę, bo żałośnie skowyczały.

Pudel zbliżył się do nich, wyjął z kosza jedną buł-
kę, rozerwał ją na części, dał każdemu szcenięciu po
kawałku i odbiegł pośpiesznie.

Przekonał się więc starzec, dlaczego bułki brakowało, a za taką kradzież nietylko że się nie gniewał, ale bardziej jeszcze polubił dobrego pudła. Bo któżby się mógł spodziewać, żeby zwierzę było tak litościwe dla obcych zupełnie szczeniąt?

Marya Weryho.

Opowiadanie cioci Rózi.

— Chodźmy do łabędzi, ciociu — prosiła Mania.

— Chodźmy — odparła ciocia — i Janek pójdzie z nami, nieprawdaż?

Poszli we troje do ogrodu rodziców Janka i Mani. Minęli klomby bżów, jaśminów i spirei i weszli w długą aleję grabową, na końcu której błyszcząca spora sadzawka i szarzał malutki domek łabędzi. Domek to był bez okien i kominów, miał tylko drzwiczki któredy wchodziły łabędzie, szukając ochrony przed zimnem w gniazdach wystanych sianem i słomą.

Lecz teraz ciepło było i dwa białe łabędzie pływały sobie koło domku, a gdy ujrzały ciocię Rózię i dzieci, szybko podpłynęły do brzegu wyciągając długie szyje i przyglądając się ciekawie, co też im goście przynieśli.

— Ach! — zawołała Mania — nic dla nich nie wzięłam.

Za radą cioci Janek pobiegł szybko do domu i wkrótce powrócił zdyszany, niosąc w rękę kawałek białego chleba.

Ciocia rozdzieliła kromkę na dwie części, jedną dała Mani, drugą Jankowi.

— Masz Milusiu — wołał Janek, rzucając okruszyny do wody — jedz łakomcze. Patrzaj Maniu, to prawdziwy łakomec, jak szybko chleb połyka, a jaki zręczny, zawsze ubiegnie Lotkę w chwytaniu okruszyn.

— Miluś jest brzydki chciwiec — ganiła Mania łabędzia, odsunęła się od brata a za nią popłynęła Lotka — Jedz Lotusiu — mówiła rzucając okruszyny garściami, lecz Miluś zatrzepotał wielkimi białymi skrzydłami i znów począł chwytac kawałeczki przez Manię dla Lotki przeznaczone, pomimo strofowań Janka.

— Czy to prawda ciociu, że są nietylko białe ale i czarne łabędzie? — spytała Mania.

— Prawda, moje dziecko; w naszym kraju bywają głównie białe, lecz tam daleko, na południu, w Australii większość łabędzi ma czarne pióra. I u nas choć rzadko w ogrodach je hodują, mają tylko kilka białych piórek na skrzydłach.

— Chciałbym też wiedzieć ile palców u nóg mają łabędzie? — zagadnął Janek.

— Mogę ci to powiedzieć — odparła ciocia. — Łabędź tak jak gęś i kaczka, które dobrze znacie, mają po cztery palce; z tych trzy przednie złączone są błoną, a jeden krótki palec umieszczony jest na tyle łapki.

— Dziękuję cioci -- mówił Janek. — Ciekawy też jestem, dlaczego gęsi i łabędzie tak wodę lubią? Co to za przyjemność być ciągle zmoczonym?

— Mylisz się Janku; łabędzie, gęsi i kaczki po wyjściu z wody są suchuteńkie, ponieważ pióra mają tłusz-

czem pociągnięte, a wiesz, że tłuszcze nie łączą się z wodą: puść trochę oliwy na wodę a płynąć będzie po jej wierzchu. No, a teraz skoro nakarmiłyście już łabędzie, chodźcie przejść się ze mną po ogrodzie.

DWA CZYŻYKI.

Była wiosna. Słonko dobrze już grzało, listki na drzewach rozwinęły się, a strumyk płynął tak żwawo, jakby cieszył się, że mu z wiosną dużo wody przybyło.

Na wierzchołku wysokiego drzewa w lesie, siedziały dwa małe ptaszki.

Jeden był prawie czarny, miał tylko grzbiet żółtozielony, piersi żółte i podbrzusze białe; drugi był podobny do niego, tylko od spodu miał piórka żółtawo-białe z ciemnymi prążkami.

Ptaszkami temi były czyżyki.

— Cir-cir — mówi ptaszek jeden — czyś nigdzie nie znalazła dobrego drzewka?

— Owszem, widziałam ładną, rozłożystą, wysoką brzozę; zdaje mi się, że można na niej gniazdko dobrze umieścić.

— Ale gdzież tam, moja kochana! czy nie wiesz, że lada wietrzyk gałęzie brzozy rozwieje i nasze gniazdko dostrzeże jaki ptak lub zwierzę drapieżne. Sądzę, że nic z tego nie będzie, trzeba lecieć do iglastego lasu, może się tam prędeż co znajdzie.

I poleciały czyżyki do innego lasu.

Tym razem były szczęśliwsze, bo prędko ujrzały ulubione drzewo swoje, dużą jodłę. Szybko pofrunęły i usiadły na jej wierzchołku.

— To mi drzewko! Jakie gęste, jaki widok stąd ładny, u spodu strumyk płynie, naokoło drzew iglastych pełno.

— A więc zabierajmy się do roboty — mówił drugi czyżyk, inne ptaszki już mają gniazdko pouścielane.

I wzięły się ptaszki do pracy.

Na samym wierzchu drzewa, wybrały cienkie gałązki, uplotły z nich gniazdko, poszczepiały suchą trawą, pozatykały mchem szparki, a wokoło poprzykrywały porostem. Z innych gałązek zrobili rodzaj daszku nad gniazdkiem, jako ochronę przed deszczem.

— Odpocznijmy teraz trochę.

I ptaszki usiadły na gałązce, ale ciągle myślały o swoim przyszłym mieszkanku.

— Już mamy gniazdko prawie wykończone, musimy je tylko teraz czem zapełnić wewnątrz aby naszym pisklątkom było wygodnie i miętko.

— Z tem to będzie trudniej. Gdzie tu znaleźć co miękiego? nawet mech za twardy. Lećmy znowu w świat a nuż się co znajdzie.

Pofrunęły czyżyki, każdy w inną stronę.

Jeden z nich długo nie wracał, już słonko się zniżyło, już wieczór nadchodził, a czyżyk nie przylatywał. Drugi ptaszek siedział przy gniazdku i bardzo był robotą zajęty.

— Cir-cir-cir — zawołał nareszcie drugi czyżyk, wpadając zadyszany do gniazdka.

— Cir — odpowiedziała mu towarzyszka — cóżeś tak długo nie wracał, mój drogi? bałam się czy cię jakie nieszczęście nie spotkało.

— Bo też moja droga, miałem pełno przygód. La-
tałem tu i owdzie szukając jakiego puszku i nic znaleźć
nie mogłem. Nareszcie widzę na polu, leży kłębuszek
wełny. Chwytam go czempredziej i unoszę w powietrze.
Wełna była bardzo gruba i poplątana, więc usiadłem
na gałązce i zacząłem ją rozskubywać. Kiedym już koń-
czył robotę, a dobrze się namęczyłem, bo mnie aż dziób
zabolał i o małym pazurków nie połamiał, wtem wiatr
porywa moją wełnę. Lecę za nią, a wiatr unosi ją coraz
prędziej, coraz wyżej, wyprężyłem skrzydła, pędząc co
sił starczy, postanowiłem bowiem nie wracać bez wełny,
i możebym niewiedzieć jak długo ją ścigał, gdyby nie
wysoka sosna, o którą się wełna zaczepiła. Mam cię na-
reszcie, myślę, a tu znowu bieda, gdyż wełna tak się za-
czepiła o igły, że nie było sposobu wydobyć jej stamtąd,
to też urwałem parę kawałków i przynoszę choć tę odro-
binę. Ale co widzę! ty masz całe gniazdko wysłane
i to jak miętko! Co ty masz takiego?

— O, mnóstwo rzeczy! To jest puszek, który zna-
lazłam na polu, tam dwa piórka sowy, leżały w lesie,
a to pajęczyna, widzisz jaka mięciuchna. Na naszym
drzewie tuż była, więc ją zabrałam. Pająk się strasznie
rozniewał, wyskoczył, a ja go cap! i schrupałam.

— Dobrze się urządziłaś, nie zmęczyłaś się tak jak
ja, a zrobiłaś więcej. Może ci już wełna niepotrzebna?

— Przyda się, połóż ją z boku. A teraz możemy
sobie spocząć, bo już bardzo późno.

Usiadły ptaszki w swoim nowym domeczku i zasnę-
ły. Nie słyszały jak deszcz padał, jak wiatr wył, jak
puszczyk krzyczał. Czyżykom było ciepło i dobrze.

II.

Nazajutrz bardzo wczesnie obudziły się ptaszki, wy-
frunęły z gniazdka i zaczęły się rozglądać na wszystkie
strony. To wlatywały na sąsiednie drzewa, to siadały
na ziemi, to wchodziły na gałęzie jodły.

— O, dobrze nam tutaj, chyba żaden drapieżnik
nie dojrzy naszego domku.

Gniazdko rzeczywiście było zręcznie zrobione i tak
ukryte, że niktby się nawet nie domyślił jego istnienia.
Było zupełnie schowane w gałęziach i porostach, tej sa-
mej barwy co one.

Cieszyły się czyżyki bardzo, że się im tak gniazdko
udało. Cieszyły się tak bardzo, że z radości skakały po
gałązkach, kwiliły, swiergotały, ciągle ze sobą rozma-
wiając.

Nareszcie jeden z nich usiadł na cienkiej wystającej
gałązce i zaczął śpiewać. Z początku pocichu, a potem
coraz głośniej, coraz piękniej, coraz donośniej.

Dziwił się ogromnie drugi czyżyk. Słyszał nieraz
czyżyki, ale tak ładnie śpiewającego nigdy. Usiadł
więc na drzewku w pobliżu i słuchał.

— Jaki on piękny—myślał sobie—ten mój czyżyczek
jak się lśni! Jego zielonawe piórka na grzbiecie, a jakie

żółte na spodzie, główkę zaś zupełnie ma czarną. O! nie-
ma chyba piękniejszych ptaszków na świecie, jak my
czyżyki. Ja chociaż jestem także czyżykiem, ale się
z nim porównać nie mogę. Na grzbiecie zamiast ładnych
zielonych piórek, mam jakieś szaro-zielone, na spodzie
znowu białe a boki całe pstre. I głosu wcale nie mam,
próbowałam kilka razy zaśpiewać, kwilę, kwilę, a dalej
ani rusz.

Czyżyk smutnie spuścił główkę i zamyślił się. Wtem
jakby mu coś nowego przyszło do głowy, frunął i pole-
ciał wprost do gniazdka.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Ułożył Jaśko Warszawiak dla Sz. Redakcyi.

Daję wam imię dobrze znane
I nawet często u nas używane.
Macie początek imienia tego
I środek — początek jego
Końcem jest tego imienia
Którego autor nie wymienia.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Jaśka Warszawiaka dla Amerykanina.

Z następujących sylab: A—an—char—cław—da—
e—fer—ja—ka—ko—ko—ko—cio—a—na—na—ni—nik
—no—krzew—o—o—per—por—rek—re—ri—rie—to
rya—styks—sie—stu—wał—wi—wicz—wa—wid—za—
ziz — ułożyć wyrazy: 1. Ptak z rzędu śpiewających.
2. Najpożyteczniejsze zwierzę północne z rzędu przeżu-
wających. 3. Rzeka w Ameryce południowej. 4. Waro-
wne miasto we Francyi, gdzie istnieją wielkie lniane fa-
bryki. 5. Port handlowy przy ujściu Duero. 6. Nazwa
krzewu wijącego się z rodziny przewierceniowatych;
niektóre z nich hodują po ogrodach dla ozdoby.
7. Twierdza i port nad m. Adryatyckiem. 8. Rzeka
w Grecyi, w starożytności zwana rzeką piekiel. 9. Po-
wieściopisarz współczesny. 10. Imię kilku królów cze-
skich. 11. Jezioro w Ameryce. 12. Król poeta. 13. Mała
rzeczka wypływająca z gór Atlasu. 14. Sławny astronom.
15. Prowincya Hiszpanii. Początkowe i końcowe litery
tych wyrazów czytane z góry na dół, powtórzą dwa ra-
zy nazwę powieści drukowanej w Wieczorach.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 38-go.

Łamigłównki:

1. Pionek. 2. Elwira. 3. Radom. 4. Senacheryb. 5. Ofni.
 6. Wergiliusz. 7. Jefte. 8. Eurypides.
- Persowie — Kambizes.

Zadania liczbowego:

Pożyteczna praca
Czas i nudy skraca.

Ewa Marya.

Skrzynka do listów.

Praeowitą trójkę: **Brunetkę, Kwiatek polny i Ogrodniczkę z W.** pozdrawiamy serdecznie. Konkurs rozstrzygnięty będzie niedługo; liściki nadsyłać można, ale po jednym tylko na raz.

Mała L. umie widocznie czuć piękność natury, skoro tak głębokie zadowolenie przebija w słowach jej, gdy opisuje nam wakacyjne wycieczki. Tak, dziecko drogie, przyroda cudną jest księgą, w której imię Boga na każdej stoi karcie... Wieczory wysłamy bez zwłoki.

Prymulka i Gospoia Taty znajdują odpowiedź na swoje pytania w odpowiedzi do **Brunetki**. Zdaje nam się, że zasuszenie kwiatów musiało ci się nie udać z powodu tegorocznej wilgoci; jednym z niezbędnych warunków jest bowiem wystawienie zasypanego piaskiem kwiatu na silną operację słońca. W braku słońca zastąpić je można jako tako ciepłem piecyka kuchennego. A czy piasek *doskonale* był wysuszony?

Rozmaicie podpisują się nasze korespondentki, ale przyznajemy, że jednym z najmiłszych podpisów jest ten, jakiego użyła **Kosodrzewina z Babięj góry**: „ważna czytelniczka”! Z *ważnej czytelniczki* jest też bardzo miła i bardzo dobrym stylem pisząca korespondentka, która niedługo się dowie, jakiś sąd wyдали o robocie dziesięcioletnich jej paluszków.

Kochana **Brzydotka z nad Tamizy** nie słuszny ma żal do nas: dwa z jej liścików były drukowane, więcej na raz przyjmować nie może Redakcja, bo i tak ciągle mamy zaległości, z których chcieliśmy wyjść przez wakacje. To jest jedyny powód dla którego prośba kochanej i drogiej korespondentki „na nic się nie zdała”. Korespondencye z Ameryki bardzo nas zaciekawiają i prosimy o nie. Numer żądany wyprawimy.

Adres **Dziewanny** zmieniliśmy; numer wysłamy. Czy suszenie kwiatów powiodło się? **Gospoia taty** narzeka, że ją przepis nasz zawiódł.

Któżby nie był „łaskaw” na **Dziecię Majowe**, które rozpoczęła z nami korespondencyę? Serdecznie pozdrawiamy wiosenne to stworzonko w gronie naszych korespondentów.

Fate-Morganę prosimy o dotrzymanie obietnicy częstego pisywania.

Kto to **Jutrzence** powiedział, że nie przyjmowaliśmy liścików do nas pisanych? Nie przyjmowaliśmy tylko tych liścików, które do siebie nawzajem pisujecie, bo ich się za dużo zebrało czekających na swoją kolej.

A kiedy już o tem mowa, prosimy **K. (Kinge)** aby z nadsyłaniem nowych liścików zechciała się wstrzymać dopóty, dopóki nie przyjdzie kolej druku na te, które naszej pamięci poleca.

Grażyna prosi nas o zawiadomienie czytelników, że ponieważ przeszła do grona staruszek, odstępuje zatem swego pseudonimu.

Drogi moje **Filaretko, Marynarko i Sarenko!** Długo wam nie odpisywałam, bo wyjeżdżałam z domu. Za powrotem znalazłszy liściki wasze kochane siostrzyczki, czempredź z radością odpisuję na nie. Twoje imię **Filaretko**, wcale nie jest brzydkie, owszem podoba mi się. Napisz do mnie prędko **Sarenko**, bo jestem ciekawą czy mój domysł jest trafny. Ściskam was serdecznie i proszę pamiętać o *Niezapominajce z nad Warty*.

Niezapominajko z nad Warty! Grażyno Nr. 2-gi, zgadłś kto jestem. Ca porabiasz i co porabia **Wańdzia W.**? Mieszkam na **Senatorskiej 26 a Jadzia Woj.**... na **Wspólnej 40**. Ściskam was po tysiąc razy, również jak **Ciecioreczkę i Amazonkę z nad Narwi**. *Mgła wieczorna*.

Bardzo ucieszył mnie twój list **Fiolku Alpejski**, gdyż odgaduję w tobie **Martę E.** jak ty odgadłaś we mnie **Halinę**. Jeżeli się nie mylę, to pozdrów odemnie **Anielcię**, jak również ciebie pozdrawia *Sarenka modrooka*.

Drogi **Gałązko Wrzosu, Różowa Jutrzenko, Chmurko złoci-sta i Cyganeczko z nad Wisły!** Donieście gdzie mieszkacie, jak się zowiecie i ile macie lat? Ja jestem już staruszką, mieszkam

w małym miasteczku, nad **Wartą**. Ściskam was i proszę odpisaćcie koniecznie *Wróżbiarce szczęścia*.

Drogi moje **Cyganeczko i Biały Bzie!** Bardzo długo do was nie pisałam, bo byłam chora i w czasie kuracyi pisać nie było mi wolno. Jak spędziliście wakacje? ja część ich spędziłam u moich wujostwa w pow. **Sandomierskim**. Donieście co o sobie drogie moje. Ściskam was obie serdecznie, oraz **Gwiazdkę nadziei**. Wasza *Zorza*.

Droga Muszko latająca! Czy czasem nie jesteś uczennicą **p. Józefy G.!** W **Wieczorach** najlepiej mi się podoba „**Druga Matka**”. Czekam niecierpliwie odpowiedzi *Córa M.*

Droga Wiochno z pod Lublina! Wybacz mi że do ciebie starszej o lat 4 panienki, piszę pierwsza ale ostatnimi czasy dowiedziałam się tyle szczegółów o tobie, że nie mogłam się oprzeć pokusie zapoznania się z tobą. Mogłabym ci wyliczyć wiele przeróżnych rzeczy o tobie, ograniczam się jednak z konieczności na główniejszych. Nazywasz się **Celina Go.**... mieszkasz w **Radlinie**. Moja mama znała dobrze twoją mamę. Masz starszą siostrę **Kazę**, a w końcu dodaję że zobaczę zapewne twoją fotografię. Ściskam cię wraz z siostrami **Zosią i Stefcią**. Życzliwa *Balladyna*.

Złota Pszczółko! Choć się pomyliłam co do twojej osoby to jednak myślę, że mi tego za złe nie weźmiesz. Nie mogłam wcześniej odpisać, bo jestem, a raczej byłam (gdyż teraz już skończyłam pensyą — taka ze mnie staruszka!) i **Wieczory** tylko na wakacjach czytywałam. O mnie dowiesz się dużo szczegółów z listu do **Niezapominajki z nad Warty** w **N-rze 48**. **Radomianko!** Dużo słyszałam o tobie, masz imię **Marya**, lat 15 i siostrę, której pseudonimu zapomniałam. Zgadnij od kogo mam te wiadomości? **Gamo C-dur i Violo tricolor!** Wiem, że mieszkacie w **K.** czy nie jesteście **Marya Wędz. i Mania Bar.**, bo w takim razie znam was dobrze. Odpiszcie mi **Niezapominajko Czeska, V. Cairo** i **Wiochno z pod Lublina, Milutka V. Cairo** czy także pisujesz wierszyki? **Jerzynko i Gołąbko Wersalska** czy mieszkacie zawsze we **Francji** lub też tylko tam na pensji jesteście? Odpiszcie wszystkie *Filaretce*.

Droga Rusałko z nad Dźwiny! Przykro nam że zaraz nie odpisałyśmy ci na twój list, lecz przeczytałyśmy go dopiero przed kilku dniami. **Zosia R.** wiele nam o tobie opowiadała i dla tego zdaje się nam że doskonale cię znamy. **Lubimy** bardzo **Wieczory R.** i wszystko co się w nich znajduje, bardzo nas zajmują. *Gołąbka i Jerzynka Wersalska*.

Obiedwie jesteśmy kwiatkami pamięci, droga **Niezapominajko z Zacisza**, nie zapominajmy więc o sobie. Pytasz się jak wyglądam? trudno ci na to odpowiedzieć, gdyż przyznam się, że sama dobrze nie wiem. Najlepiej byłoby, żebyśmy się osobiście mogły poznać; ja mieszkam w **Warcie**, a ty w jakiej okolicy? Na imię mi **Wacława**, kochana **Ciszo wieczorna**, z nauk najwięcej lubię literaturę; donieś mi jakie masz imię i gdzie mieszkasz? Mnie również jak i tobie **Cherubinko** miła, podobają się listy „**Z wyspy Atlanty**”; napisz mi co więcej o sobie; ile masz lat? ja niestety jestem już staruszką, ale zawsze jednakowo kocham **Wieczory** i nieznanne przyjaciółki. Załączam wam uścisk siostrzany, *Niezapominajka z nad Warty*.

Kochana **Podróżniczko!** Otrzymał twój liścik odpisuję ci natychmiast. Mam lat 13, na imię mi **Marya P.** Mieszkam w **Kamieńcu Podolskim**, mam troje rodzeństwa, jednego brata i dwie siostry starsze odemnie. Chciałabym cię poznać bliżej. *Lo-belia*.

Kochana **Pokrzywko z nad Horynki!** Nie sądz, abym była niegrzeczną; powodem mego milczenia był brak czasu. Nazywam się **Zosia B.**... mieszkam w **Sielcu** za **Sosnowicami**; mam lat 10, uczę się w domu razem z młodszą siostrzyczką **Wandzią**, oprócz niej mam jeszcze dwie młodsze: **Jankę i Marychnę**. Z nauk najwięcej lubię geografję, historję i muzykę. Napisz jak tylko znajdziesz wolną chwilę do *Zielonej Żabki z nad Przemszy* dawniej *Złoty Motyl*.

P. S. Wszystkim korespondentkom **Wieczorów R.** przesyłam serdeczne pozdrowienia.